

Dorota Masłowska *Przyszkoleni do jedzenia*

Spotkałam kolegów. Jeden jest spuchnięty, niewyraźny, zamazany. Jeden: tu nie ma nic do roboty, a Drugi na to: to ich wina. To wszystko ich wina. Mieli jakieś pieniądze, więc piwo i hasz, i cały dzień przewlekli przez szpary w ławkach, przez płyty chodnikowe, pomniki, krawężniki, ulice. Ślady ich butów na podłogach jakichś autobusów zamazane, zatarte, nie wiedzą, gdzie byli, nie wiedzą, co robili, było słońce, było za jasno. Dealer mieszka przy banku, jego babcia smaży jajecznicę, woła: klienci przyszli. Jeden opowiada, jak niewidomy chłopiec, braciszek dealera czy kuzyn, dotykał go w bluzę. - To skóra? - pytał, pukając. To skóra czy ściana? Boli cię, jak pukam? Leci ci krew, jak pukam?

Jeden mówi: za dużo przypalam. Znowu dzisiaj paliłeś? - pytam. Tak. Ale jesteś głupi - mówię. Wiem, przede wszystkim za dużo palę, a poza tym nic nie robię, ale przede wszystkim za dużo palę.

On wygląda tak samo jak wczoraj. O Boże, jak jest źle, jak jest strasznie źle. Rozmowa, nowy język, który zwija się tylko w źle, boli, źle, kurwa, kurwa, o kurwa, ja pierdołę, który sam się ze sobą płacze, sam się ze sobą całuje i sam się zagryza. On mówi: "trzeba wyjechać, trzeba stąd wyjechać, bo nie, już dłużej tu nie wytrzymam, codziennie otwierają się usta i wylatuje nowa, bardziej jeszcze jednolita bańka, bo nie, ja chodzę, jaramy w tym samym miejscu, wchodzę do sklepu, proszę o tę samą gumę, sprzedawca tym samym gestem kładzie gumę na tym samym mleku, brzęka ta sama, odliczona suma pieniędzy, o kurwa, muszę stąd wyjechać, a wiesz, czasami mam wrażenie, że zaraz poobcinam te kable, komputer i telefon i przestanę podnosić rolety, obetnę antenki, mam codziennie wrażenie, że nie wstanę, stara będzie drzeć mordę - obiad, a ja będę tylko mówił: odwal się, nie widzisz, że leżę, właśnie leżę i nie mogę się oderwać. Może załatwić sobie jakiegoś psa i zamknąć się z nim w pokoju na kilka dni, nie otwierać drzwi ani okna, niech sra. Ja zrobię sobie obiad, coś, czego najbardziej nienawidzę, może śledzie, mnóstwo śledzi i zrzygam się na siebie. A potem potniemy sobie wszystkie swoje ubrania, kupimy nowe, poobszywamy je tysiącem metek, adidas, adidas i nike".

Trawa. To nie jest podpunkt ich autodefinicji, to jest samo jej centrum i każdy wyraz będzie zawierał te litery, każde słowo będzie zaczynało się na T i kończyło na A. Wszystko zaczyna się od kołowania pieniędzy, a kończy na siedzeniu na ławce. Na wszystkie pytania mogą odpowiedzieć: palę trawę. Jakiej słuchasz muzyki i jakie czytasz książki? - palę trawę. Czym się zajmujesz w czasie wolnym i jakie masz zainteresowania? - palę trawę. Co lubisz? - palę trawę. Jakie masz poglądy polityczne? - palę trawę. Jak myślę o przyszłości, to wiem, że nic nie będzie, a jak palę trawę, to mogę o tym nie myśleć.

Nie mają pieniędzy, ale ich definicja tego nie uwzględnia. Bo gdyby mieli pieniądze, zmieniłyby się wyłącznie rekwizyty: kupowałyby piguły, drinki ze złotą słomką i rozbijali się po mieście samochodem. A gdyby przestali dorabiać w Auchan, staliby na rynku i stukali na tanie wino. To są młodzi ludzie i nie chodzi o cenę i gatunek wstawianej protezy, ale o sam fakt konieczności jej wstawienia. W bezbronnie nagie działo, z którego albo w którymś momencie coś bezpowrotnie wypadło, albo w którym od początku nie było zawiązków niczego i z którego nic już nie wyrośnie.

Mieliśmy przyjść i przynieść ze sobą jakąś nową myśl. Coś podważyć, wykopać i zasadzić nowe, nieznane jeszcze rośliny, które sami wymyśliśmy, i odcisnąć na powierzchni niewidzialną rękę. Tymczasem jedyną alternatywą, jaką znaleźliśmy dla świata dorosłych, są narkotyki. Jedyne nasz spiszek, jedyna partia, którą zgłosimy do Sejmu, jedyny sprzeciw. Jedyne, co zdążyliśmy wspólnie ustalić, i jedyne, o co jesteśmy skłonni walczyć.

Reszta sił rewolucyjnych idzie na bojówki faszystowskie i wegetariańskie, promocję anarchii na wlepkach zdobiących autobusy. Na walkę o wyzwolenie cierpiącego mięsa i konkursy w udzielaniu pierwszej pomocy. To są już ułamki procent, a reszta idzie z dorosłymi pod ramię zgłosić się w okienku po pieniądze, administracja i administracja, zarządzanie i zarządzanie. Narodowy dyskurs na temat zawartości szczurzego kału w zbożu i tytułów magisterskich polityków oglądamy z zażenowaniem jak rodziców wrywających sobie jedzenie przy kolacji. Kiedyś ktoś dziwił się, że szukam czegoś w "Gazecie Wyborczej", powiedział: "w ogóle nie biorę tego do ręki, bo jak czytam, co oni robią, to chcę to wszystko podpalić".

Niedawno moje koleżanki w jasny, letni wieczór sprejem domalowały figurce Matki Boskiej stojącej przed jednym z kościołów penis. To brzydko wyglądało, to zostało zamazane. "Niby to zrobiłam, ale tego nie było" - tłumaczyły mi. "Jak to malowałam, to o nic mi nie chodziło i nic nie czułam, że to kogoś może

jakoś oburzyć; tego przecież nie było". "Ale po co?". "No jak: po co. Po nic. Po to, po co wszystko inne".

Słuchałam tego i wiedziałam, że moje argumenty, że to i to, i że czyjeś uczucia są bezwładne wobec jej argumentów. Albo wobec ostentacyjnego ich braku. Wiedziałam, że to, co ona mówi, to jakaś prawda. O nas. Po nic - po nic, czyli jak wszystko inne. Jakaś prawda, która jeszcze nie do końca wyszła na światło dzienne, a która dopiero się okaże.

To są młodzi ludzie, to idzie młodość. "Pokolenie najmłodsze, pokolenie oczywiście kompletnie stracone, bo do cna znieprawione przez telewizję, narkotyki, internet oraz wilczy polski kapitalizm". A więc mówi się o nas ze smutną miną i z taśmociągu szkoły średniej i studiów wychodzimy z etykietką "pokolenie stracone", "generacja nic", "generacja po nic". Zestaw argumentów jest stały. Internet, komputer i telewizor - osobny świat płynący w kablach, zlepek schematów z kolorowego plastiku, rozświetlający okna wieżowca w zgodnym rytmie, na którym zostaliśmy wyhodowani. Narkotyki i stroboskopy jak barwne solaria nadające skórze niezwykle, supermodny odcień błękitu lub zieleni. Mam 19 lat i też to wiem. Że nie trzeba żyć, wystarczy jeść, że nie trzeba żyć, bo życie dzieje się w telewizji. Że wystarczy klikać myszką, by pokazały się kolejno: kobieta, mężczyzna, dziecko, nóż, widelec. Że jedynym problemem jest odszukanie skutecznej metody jedzenia tak, żeby jeść dużo, szybko, w przyjemnej atmosferze, lepszy telefon komórkowy, administracja i administracja, zarządzanie i zarządzanie, finanse i finanse, lokale, znajomości, jak najwięcej numerów w telefonie, jak najbardziej kolorowe drinki. Streszczenia lektur szkolnych, cała literatura i sztuka, i wszystko, co miało być pod spodem, sprowadzone do praktycznego zestawu trzech pojęć i pięciu definicji w niewielkiego formatu książeczce. Wielkie streszczenie rzeczywistości, które dostaliśmy w promocji, a które wyciągamy w bardziej kluczowych momentach.

Urodziliśmy się na początku lat osiemdziesiątych. Dokonujący się w Polsce przełom jest dość mglistym wspomnieniem. Kojarzy się raczej z gwałtownie podsunętą pod nos kolorówką, zestawem dwóch ilustracji z dopisanym entuzjastycznie dużym drukiem poleceniem "znajdź 10 szczegółów różniących obrazki".

Puszki po błyszczących, zagranicznych napojach pielęgnowane skrzętnie, trzymane w meblościankach za szybą, eksponaty z dalekich wycieczek do lepszych krajów okazały się nagle czymś, co można kupić, opróżnić, zgnieść i wyrzucić.

Opalone sucze ciała lalek Barbie, Myszka Miki i Kaczor Donald, frytki w szeleszczących opakowaniach, plastikowe sztucce, wszystko to, co stało dotychczas za zasłonką, cały świat jaskrawych kolorów i jednorazowych opakowań wybuchł, zalał granicę, za którą staliśmy onieśmieleni, zapłodnieni obrazkami z pięknych, lśniących seriali i podmył nas. Tak więc ta wolność, która przyszła, nie objawiła się nam inaczej niż powódź kolorów, folii, kolorowego papieru i blaszki. To było trochę jak sugestywny film reklamowy, dwie plansze: przed i po, "przed" oznacza brzydko, szaro i za mgłą, "po" opętańczo kolorowy krajobraz hipermarketu. Celowo używam takich porównań, w kontekście tego pokolenia one są najtrafniejsze: zostaliśmy wyhodowani na estetycznym, ale mało żywnym podłożu plastikowym.

Zostaliśmy przyszkoleni do jedzenia. Tak właśnie żyjemy. "Po nic".

Najbardziej w tym wszystkim chodzi o to, że jemy. Uczępieni lateksowej piersi, wykarmieni błyskawicznym mlekiem w proszku. Zaszczepiono nam kult materii. Obcujemy z taką jej ilością, że przestajemy rozróżniać strukturę i kształty, penis można równie beznamiętnie namalować na murze, na figurce Matki Boskiej i na żywym człowieku, i nie będzie różnicy, bo wszystko jest równie namacalne, wszystko jest równie jadalne, wszystko można popchnąć i przewrócić, wszystko można przetworzyć we wszystko inne. Wartości tak względne i skłonne do korupcji, że tylko samo opakowanie po wartościach; pospiesznie zapełnia się je czymkolwiek, serią kolorowych obrazków w postaci tabletki, rozmową o najnowszym i najlepszym telefonie.

W naszej świadomości wytatuowany jest teleturniej, reklama, gra komputerowa. Wiem to, bo jako ośmiolatka znałam na pamięć teksty wszystkich reklam, które recytowałam z telewizorem, doprowadzając rodziców do szału. Nie wierzę, że do końca je zapomniałam.

Czasami zastanawiam się, na ile nauczyliśmy się żyć z telewizji. Jak należy chodzić, mówić, głaskać, czuć. Czasami boję się, że nie doceniamy skali zjawiska. Że nie kochamy, tylko recytujemy jakies

kwestie zasłyszane dawno w "Dynastii", którymi odbijać będzie się nam już do końca.

Odbija nam się colą i odbija nam się chipsami, odbija nam się sztucznymi barwnikami we wszystkich kolorach tęczy. Jest trochę tak, jakby jedyną naszą funkcją życiową było otwieranie ust i wyciąganie języka. I oczywiście można próbować wyjść z tej powszechnej kolejki. Moi koledzy pili pod mostem tanie wino, śnili złe sny o Babilonie i celowali strzałkami do systemu. Zaraz potem, jak kończyły się pieniądze, szli pracować do Auchana, nosić pudła z czekoladą i ustawiać miksery na półkach. Nie chodzi o jakieś pretensje do tej wielkiej umowy o kupno/sprzedaż, w ramach której moje pokolenie od samego początku funkcjonuje. Przecież nikt nam nie przeszkadza, wręcz przeciwnie, same ulepszenia, same nowe i lepsze matyry, języki coraz bardziej obce, postęp, obsługa komputera, pizza na telefon, miłość na telefon. Nie chcę pisać o młodzieży z elitarnych liceów, która różni się od tej z zawodówek i parków tylko markami ubrań, rozmiarami perspektyw i gatunkiem pitego alkoholu. Rzygają tak samo. To są twarze błękitne od stroboskopów, a to bordowe z zimna, ale ekstazy jest to samo i w tej samej cenie.

Chodzi o to, że w równym stopniu nic z tego nie wynika. Że jesteśmy pokoleniem braku, niesamowitej pustki, jakiej musi doznawać bulimik po ekstatycznym wchłonięciu zawartości lodówki. Że jesteśmy pokoleniem wpychanej w tę pustkę protezy, erzacu.

Moja definicja "generacji nic" nie różni się dużo od definicji Kuby Wandachowicza. Tak to trochę widzę, że jesteśmy pierwszym pokoleniem, któremu wykupiono kolonie w raj. Nie dostaliśmy w użytkowanie świata, dostaliśmy wielką, powszechną jadłodajnię. Szkolono nas i przystosowywano do sięgania, brania, jedzenia, klepania się po brzuchu. Żadnych naturalnych wrogów, żadnych dzikich zwierząt, nic, co stawiałoby nam opór. Wojna, Holocaust i śmierć to tytuły gier komputerowych, napisy na koszulkach, obcojęzyczne fanaberie spikerów telewizyjnych. Ten pokój fruający po świecie w przebraniu białego gołębia pokazywany nam przez okno w przedszkolu jest oczywisty i zastrzeżony w prospekcie. A czasami siedzimy i wzdychamy: Jezu, niech wreszcie przyjdzie jakaś wojna, niech to wszystko wreszcie wybuchnie. Niech będzie po co żyć.

Ja to tak widzę, wygląda dość ponuro, puste, żywiące się brokatem, nakręcone w konwencji teledysku, przekupne, łatwe. Pustka przyjmuje wartości coraz bardziej graniczne, bo o ile jeszcze niedawno zdawało mi się, że "mieliśmy gdzieś uciec", coś powiedzieć, coś zrobić, to teraz okazuje się, że "nic z tego nie będzie". I coraz bardziej nic z tego nie jest, coraz bardziej nie jesteśmy, tylko wysyłamy esemesy i robi się nam zdjęcia, coraz szybciej chodzi stroboskop. A jednocześnie jestem przekonana, że i ten pęcherz z wodą zaczyna pękać.

Napisałam książkę, w której na każdej stronie pojawiają się fotografie pustki we wszystkich ujęciach. Jest trochę tak, jakbym rzuciła pocisk w świat tektury i dykty, a doszywa się mu ogon i przerabia go na kometę: jakie to wszystko dramatyczne, smutne, te narkotyki, ten brak perspektyw. A ja mam wrażenie, że mnie to nie obchodzi, to całe tło społeczno-polityczne, że jedyne, co mam w tej kwestii do powiedzenia, to to, "że się stąd nie ruszam, zrobię z tego grobu dom". To są właśnie pęknięcia w pęcherzu z wodą: przestajemy poszukiwać drugiego dna, bo tutaj jest tylko jedno i to umieszczone bardzo płytko. Przestajemy szperać w tych szeleszczących, posrebrzanych opakowaniach, próbując dogrzebać się jakiegokolwiek zawartości. Jeśli zbudujemy coś nowego, to ze śmieci, odłamków, plastiku, bo na tym zostaliśmy wyhodowani. Pokolenie stracone, wyhodowane na mało żyznym podłożu z tworzyw sztucznych, wypuści kwiaty ostentacyjnie plastikowe.